



CICHA
CIEMNA
NOC

MICHAŁ JAN CHMIELEWSKI

LITERATE

MICHAŁ JAN CHMIELEWSKI
CICHA CIEMNA NOC

LITERATE

Dla Moniki
Bez Ciebie nie byłoby tej książki i nie będzie żadnej następnej

KARTKA Z PRZESZŁOŚCI

Teodor pedałowiał, ja siedziałem na chwiejącym się bagażniku składaka. Czułem na tyłku każdą nierówność, każdy wybój na drodze, każdy kamień i przejechany krawężnik. Jak tylko powiedziałem o tym bratu, zaczął z rozmysłem najężdżać na przeszkody.

Słońce w zenicie paliło nieznośnie, jakby chciało przeniknąć przez czaszkę i usmażyć mózg.

Widok miałem nieciekawym – spocone plecy starszego brata i ruszające się pod nimi pośladki. Wciąż trzymałem się siodelka, dupa bolała, ale zagryzłem zęby i czekałem. Miałem zobaczyć coś fajnego.

Kilkanaście minut wcześniej wyjechaliśmy z naszego osiedla. Teraz zostawiliśmy za sobą ogródki działkowe, na które chętnie przychodziłem z Maćkiem i Dawidem. W powietrzu unosił się słodki zapach świeżo skoszonej trawy zmieszany z wonią ogniska. Działkowicze krzątali się przy altankach – wypalali zebraną trawę, plewili grządki – albo pili piwo i słuchali radia; czasami ktoś rzucił nam umiarkowanie zainteresowane spojrzenie. Próbowałem dopytać Teo, gdzie jedziemy, ale powiedział tylko:

– Zobaczysz na miejscu.

Wzruszyłem ramionami. Okej, zobaczę.

*

Rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty siódmy był rokiem wielkiej powodzi, która nawiedziła południową część Polski.

Bezpiecznie ulokowani na Pomorzu ze zgrozą i dziecięcą fascynacją oglądaliśmy zatopione domy. To był czas, gdy w radiu rozbrzmiewała polska muzyka: Edyta Bartosiewicz, Hey, Kazik i Varius Manx, w telewizji oglądaliśmy *30 TON*, większość wolnego czasu spędzaliśmy na dworze – internet jeszcze do nas nie dotarł, a telefony komórkowe widywaliśmy tylko w telewizji.

Gdy wspomynam tamten rok, widzę siebie na składaku wigry3, siedzącego na gibającym się bagażniku, podczas gdy mój brat pedałuje na stojąco. Czuję wiatr we włosach i na spocynym czole; czuję zbliżającą się tajemnicę, którą z jakichś powodów mój starszy brat postanowił się ze mną podzielić.

Minęło jeszcze prawie pół godziny, ale w końcu dojechaliśmy do celu. Żwirownia. Ogromne, przepastne doły, jeden obok drugiego, a na dnie każdego ciężki sprzęt: koparki, betoniarki i psychacze. Gdy stanąłem na krawędzi największego wykopu, wszystkie te wielkie maszyny były nie większe niż pudełko zapalek.

– I co? – spytał Teo.

Z wrażenia odjęło mi mowę. Byłem zachwycony.

Brat, widząc moją rozdziawioną gębę, stanął obok dumny, z wypiętą pierśią, i powiódł dookoła wzrokiem, z uśmiechem zadowolenia, jakby to wszystko należało do niego.

– To co, skaczesz pierwszy?

Popatrzyłem na niego jak na wariata. Ostatnio wpadł na tak kretyński pomysł kilka lat wcześniej, kiedy uparł się, że włoży nóż do kontaktu.

– Jak to: skaczesz? – spytałem.

– No, normalnie. Robisz tak... – Teo wykonał kilka pajacyków, takich z kłaśnięciem nad głową. – No zrób, zobacz jak fajnie.

I ja, najgłupszy młodszy brat, jakiego ziemia nosi, zacząłem skakać, robiąc te cholerne pajacyki. Teo patrzył przez chwilę z zadowoleniem, po czym wybuchnął śmiechem.

– Dobra, dobra, już – powiedział, kładąc mi dłoń na ramieniu. – Pokażę ci, dobra, tylko pamiętaj, kurwa, że gdyby starzy pytali, byliśmy, no nie wiem, na boisku, czaisz?

Przytaknąłem, nieco zirytowany. Byłem jego młodszym bratem, okej, ale nie imbecylem, któremu wszystko trzeba tłumaczyć.

– Okej – powiedziałem.

– No dobra, młody, to teraz patrz.

Nim zdążyłem spytać: „na co?”, wziął szybki rozbieg i skoczył: wybił się wysoko z krawędzi, po czym poleciał w dół wykopu. Zamarłem. Wyglądało to tak, że jest Teodor, a w następnej sekundzie nie ma Teodora. Byłem pewien, że się cały połamał albo i gorzej. W rzeczywistości spadał sekundę, może dwie, uderzył w miękki niczym mąka piach mniej więcej w połowie wykopu, po czym spokojnie sturlał się na samo dno.

Popatrzyłem w dół. Dobrych kilkanaście metrów. Na samo wyobrażenie siebie lecącego tam, na dół, skurczyły mi się jądra. Penis, niczym spłoszony żółw, schował się do środka.

Tymczasem Teo wstał, otrzepał się i stanął w rozkroku z rozłożonymi rękoma.

– Kowabunga! – wrzasnął wesoło.

– Żyjesz?

– Skacz! – krzyknął. – Skacz jak najdalej, tylko dobrze się rozpędź!

Rozejrzałem się na boki. Z jednej strony nic oprócz piachu i wielkiej dziury, z drugiej – podobnie. Nikogo tu nie było, tylko my. Gdyby coś się stało, nikt nie przyszedłby z pomocą.

– Skacz!

Po długiej chwili wahania zebrałem w sobie wystarczające pokłady odwagi, by to zrobić. To znaczy – spróbować. Stanąłem kilka metrów od krawędzi, rozciągnąłem mięśnie nóg, zrobiłem znak krzyża, wziąłem rozbieg i skoczyłem, jak mi się zdawało, ślamazarnie i niemrawo. Leciałem sekundę,

jednak wydawało się to trwać pół wieczności. Uderzyłem w stromą ścianę piachu – bach! – i stoczyłem się jak kłoda.

Gdy zatrzymałem się na dnie, Teo był już w połowie drogi powrotnej na górę.

– Dawaj, ruchy, koniobijco! – zawołał. – Robimy zawody, kto dalej polecą. Dawaj na górę!

Następne pół godziny spędziliśmy na skakaniu i wspina-
niu z powrotem na szczyt.

To były jedne z najprzyjemniejszych chwil w moim życiu. Byliśmy tylko ja i mój brat, którego oficjalnie nienawidzi-
łem, ale tak naprawdę podziwiałem go na każdym kroku. Zazdrościłem mu wszystkiego – od kumpli, poprzez pale-
nie papierosów, łatwe podejście do dziewczyn, po „dorosły”
wiek – i skrzętnie pilnowałem, by się o tym nie dowiedział.

Z perspektywy czasu lubię myśleć, że chwile spędzone
tutaj, na zwirowni, też w jakiś sposób były dla niego wyjąt-
kowe. Zważywszy na to, co się stało znacznie później.

Z każdym kolejnym skokiem i wejściem na górę czułem
coraz większe zmęczenie. W butach miałem połowę zwi-
rowni. Wiedziałem już, że jutro przyprowadzę tu swoich
kumpli. Z nimi urządzę sobie własne zawody.

Nie rozumiałem, dlaczego rodzice zabraniali dzieciakom
przychodzić w to miejsce. Co złego mogło się zdarzyć? Skoki,
choć długie i wyglądające na niebezpieczne, zawsze kończyły
się lekkim lądowaniem; na miękkim piachu nie sposób było
zrobić sobie krzywdy.

Po jakimś czasie Teodor zarządził powrót do domu. Ja
nie chciałem. Oczywiście, że nie chciałem, kto w takiej sy-
tuacji by chciał?

– Wiezorami przychodzi tu cieć – wyjaśnił, wskazując
palcem na dno wykopu. Pomiędzy pojazdami stała mała,
smutna buda. – Tam śpi.

Jęknąłem i usiadłem na trawie.

– Jutro przyjdę tu z Maćkiem i Dawidem – oznajmiłem.

Teo wysypywał właśnie piach z buta.

– Jutro możesz przyjść sobie z całym osiedlem, ale dzisiaj musimy się zwijać. To teren prywatny, za kręcenie się tutaj można zapłacić tę, no, jak to się... aha, grzywnę, no, grzywnę można zapłacić.

Siedziałem z podwinętymi nogami, patrząc na brata.

– Często tu przychodzisz? – spytałem.

– Niezbyt. Trochę daleko. Ulewicz odkrył, że można się tu niezłe zabawić.

Adrian Ulewicz, jeden z najbardziej charakterystycznych kumpli mojego brata. Bardzo w porządku, częstował mnie fajkami, nie przejmując się protestami Teo. Znał też dużo dowcipów, i to nie takich do opowiadania przy stole podczas obiadu, o nie. Dowcipy Ulewicza były rasistowskie, okrutne i obrazoburcze.

Teo wytrząsał resztki piachu z adidasów, z kieszeni koszuli wyciągnął zmiętą paczkę papierosów i zapalił.

– Daj jednego – powiedziałem.

– Daj, to mnie w dupę pochuchaj – odpowiedział starą, osiedlową ripostą.

– Czemu nie?

– Mam tylko jedenaście.

– No weź, no.

– Weź, nie jęcz, tylko wysypuj piach z butów i jedziemy.

– Teo rozejrzał się na boki i popatrzył w słońce. – Już jest po południu. Musimy wracać, matula pewnie kończy przygotowywać kolację.

Wiedziałem, że to przegrana sprawa. Jeżeli Teo mówił „nie”, trzymał się tego do końca. Dlatego spróbowałem czego innego.

– A mogę skoczyć ostatni raz?

Namyślał się, widziałem wahanie na jego twarzy. W końcu wypuścił dym nosem i skinął głową.

– Dobra, leć, tylko wracaj szybko.

– Yes!

– Spalę szluga i jadę, czy będziesz na siodełku, czy nie.

– Tak, tak...

Stanąłem w pozycji, gotowy do rozbiegu. Ostatni skok. Ostatni, ale tylko dzisiaj. Wróć tu, powtarzałem sobie. Wróć z chłopakami i spędzimy tu cały dzień.

Rozpędziłem się, sadząc wielkie susy, a gdy zbliżyłem się do krawędzi, wykonałem skok.

Leciałem długo, bardzo długo, zdecydowanie dłużej niż podczas wszystkich poprzednich skoków. Bez żadnej przesady, ten był najefektowniejszy. Miałem nogami, jakbym biegł po tafli powietrza. Wydawało mi się, że zawisłem na chwilę w górze, jakbym wyrwał się spod praw grawitacji, ale ta przypomniała o sobie dość szybko, ściągając mnie w dół mocno i szybko. Uderzyłem w piach – mocniej i boleśniej niż dotychczas – aż uleciało ze mnie powietrze. Stoczyłem się w dół i wyhamowałem nogami, by nie uderzyć o dno.

Chciałem się odwrócić, krzyknąć do brata, żeby zobaczył, jak daleko skoczyłem – i wtedy coś mnie uderzyło. Chociaż nie, to nie było uderzenie: raczej jakby zwała się na mnie ściana. Próbowałem się okręcić, sprawdzić, co się dzieje, ale wtedy przyszedł kolejny cios – znacznie silniejszy od poprzedniego. Chciałem znów krzyknąć, tym razem o pomoc, ale lawina była szybsza – przysypała mnie całkowicie.

Zanim zrozumiałem, co się dzieje, leżałem twarzą w dół, z jedną ręką przyciśniętą do brzucha. Drugą zdążyłem unieść nieco ponad głowę, jednak to tyle, jeżeli chodzi o próbę samodzielnego wygrzebania się na powierzchnię. Nic więcej nie dałem rady zrobić. Piach wygrał ze mną w ciągu dwóch, może trzech sekund, przygniatając mnie na amen.

Szok mieszał się z przerażeniem. Jak większość chłopaków w moim wieku robiłem sporo zakazanych rzeczy. Włazenie na wysokie drzewa, wspinaczka po piorunochronie na dach szkoły, pływanie na własnoręcznie zbudowanej tratwie.

Kiedyś szczęście musiało się skończyć – i wyglądało na to, że właśnie to się stało. Bez fanfar ani ostrzeżeń. To koniec. Chciałem, to mam. Wprosiłem się na własny pogrzeb.

*

Słyszałem charakterystyczny szum wciąż osuwającego się piachu. Wiedziałem, co to znaczy – będę zakopany jeszcze głębiej.

Próbowałem się poruszyć, krzyknąć do Teodora, by mi pomógł, ale nic z tego. Nie mogłem otworzyć oczu, nie wspominając nawet o ruchu ręką czy nogą.

Rozpacz i przerażenie wzięły górę – w panice próbowałem wszystkiego naraz: napinałem mięśnie, wierciłem się i wilem. Wszystko na nic. Gdybym skupił się na, powiedzmy, wygrzebaniu choćby ręki, może by się udało, ale nie byłem w stanie racjonalnie myśleć. Piach nie tylko uniemożliwił mi ruchy, lecz także zatkał oczy, nos i usta, odcinając dostęp do powietrza.

Z każdą sekundą uchodziło ze mnie życie. Bolało. Bolało, jak kurwa mać, wszystko, zwłaszcza płuca i gardło; nie mogłem oddychać, nie mogłem ruszyć palcem, nie mogłem zrobić nic. Pozostało czekać na śmierć.

Brak powietrza.

Brak tchu.

Byłem bliski obłędu. Chciałem płakać, wrzeszczeć aż po sklepienie nieba, ale nic z tego.

Po chwili, która trwała całą wieczność i jeszcze trochę, w ciemności zamkniętych oczu dostrzegłem migające plamki. Odcięcie od tlenu robiło swoje, mdlałem.

Umieram, pomyślałem i zaraz potem urwał mi się film.

Pierwsze, co zarejestrowałem, to głos Teo. Jego krzyk. *Teo, Teo, tu jestem!* Szum w uszach i ból, wszędzie ból. Jeżeli boli, znaczy, że żyjesz. Żyję więc, na razie wciąż żyję.

Nie wiem, czy już byłem po tamtej stronie, czy stałem okraciem nad granicą, ale coś usłyszałem – znów! – i poczułem. Nie wiedziałem, co dokładnie. Potem znów ból. Dużo bólu. I znów ten głos, krzyk Teodora. Następnie znów ból, znów krzyk, potem wszystko naraz, do tego tępe łupanie w głowie.

I znów urwany film.

A potem wszystko wróciło, tym razem na dobre.

Leżałem na plecach, Teodor miażdżył moją klatkę piersiową, w brzuchu czułem przewalające się kilogramy piachu; przekręciłem się na bok i wyrzygałem całą zawartość żołądka. Otworzyłem oczy – ujrzałem resztki obiadu zmielone z piachem i żółcią – i znów haft.

– Kurwa, żyjesz, kurwa, powiedz coś, kurwa, o Jezu, japierdolejapierdolejapierdole...

Nigdy wcześniej ani później nie widziałem w jego oczach takiego przerażenia.

*

Żołądek się uspokoił, znów mogłem oddychać. W obawie przed cieciem schowaliśmy się za krzakami. Teo otrząpywał moje ubrania z piachu, a do mnie powoli docierało, co się wydarzyło. Naprawdę do mnie docierało.

Prawie umarłem. Więc choć wszystko skończyło się dobrze, rozbeczałem się. Kostucha musnęła mnie ostrzem swojej kosa, ale się udało. Żyję.

Plułem piachem, wysmarkiwałem piach. Teodor co chwila pytał, czy na pewno okej, czy na pewno w porządku.

– Będzie dobrze, będzie dobrze – powtarzał, próbując przekonać samego siebie.

Zaczął mnie przeproszać, tulił czule i głaskał po głowie. Podałem się i przywarłem do niego. Kochałem go. Był moim bratem, moim prywatnym superbohaterem, własnymi rękoma

wykopał mnie spod ziemi. Kochałem go najbardziej na świecie, tego mojego Teodora, tego mojego brata.

Niedaleko za krzakami zaczynały się ogródki działkowe. Teo wciąż patrzył w tamtym kierunku. Spytałem dlaczego.

– Wołałem o pomoc – powiedział ponuro. – Ktoś mógł usłyszeć.

Znów chciało mi się płakać. Siedziałem, czekając, aż Teo odda mi buty, i przepraszałem.

– To ja cię przepraszam, kurwa, Seba – rzucił, nie patrząc w moją stronę. Dopiero gdy po dłuższej chwili przeniósł na mnie wzrok, dostrzegłem coś, co wcześniej umknęło mojej uwadze. Był blady jak ściana.

Ubrałem się – powoli i bez pośpiechu, bo strasznie bolała mnie ręka, za którą mnie wyciągnął – podczas gdy on siedział obok i palił papierosa. Widziałem, jak trzęsą mu się dłonie.

Już ubrany usiadłem obok niego, patrząc przed siebie w kierunku żwirowni. Daleko na horyzoncie majaczył las. Uspokoilem się. Żyłem. Obydważy żyliśmy.

– Seba? – Teo podał mi papierosa. Popatrzyłem na niego, czy aby na pewno. Wziąłem i pociągnąłem, bez zaciągania się, jak to amator. – Nie powiemy o tym nikomu, co?

Pokręciłem energicznie głową. Nie. Oczywiście, że nie powiemy.

– Jakby starzy pytali, byliśmy na boisku, graliśmy w nogę, okej? Przytaknąłem.

Powinniśmy wracać do domu, ale się nie spieszyliśmy. Otaczała nas cisza, słychać było jedynie szum liści na krzakach. Niebo było czyste, powietrze słodkie jak nigdy przedtem. Po prostu siedzieliśmy tak, nie rozmawiając, i cieszyliśmy się, że wciąż tu jesteśmy. Owszem, przez kilka następnych dni wypluwałem pojedyncze ziarenka piachu, a obolała ręka znacznie utrudniła trzepanie kapucyna na dobranoc, ale mimo to wszystko było dobrze, wszystko było na miejscu.

Cicha ciemna noc
Copyright © Michał Jan Chmielewski
Copyright © Wydawnictwo Literate
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover art by Agnieszka Zawadka
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2022 r.

książka ISBN 978-83-7995-618-0
ebook ISBN 978-83-7995-619-7

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski
Redakcja: Joanna Mika
Korekta: Monika Kociuba
Adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski
Projekt okładki: Agnieszka Zawadka
Skład i typografia: www.proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Kormoranów 126/31
85-432 Bydgoszcz
sekretariat@literate.pl
www.literate.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach
www.MadBooks.pl i www.Literate.pl